



IWONA
SURMIK

SIEWCA ŚMIERCI

 SAGA
EGMONT



IWONA
SURMIK

SIEWCA ŚMIERCI

 SAGA
EGMONT

Iwona Surmik

Siewca śmierci

Saga

Siewca śmierci

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 0, 2021 Iwona Surnik i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726891508

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Siewca śmierci

Podążyłem śladami onego do Tunisu. W tym mieście trudno jest przejść ulicą bogobojnemu chrześcijaninowi, by nie narazić oczu i uszu na bluźniercze obrazy czy słowa. To siedlisko piratów, różnej maści bandytów i złodziei, na targu można kupić niewolnika równie łatwo jak przyprawy, w menażeriach straszą potwory, a domy rozpusty kuszą przyjezdnych i stałych mieszkańców. Panuje tu nieustanny hałas, języki mieszają się niczym w wieży Babel, pięć razy dziennie słychać wrzaski nawołujące do modlitwy, jakby Bóg niewiernych patronował wszelkiemu występкови. Wierę, że Nasz Pan nie będzie zwlekał z karą i miasto podzieli los Sodomy i Gomory.

Kwaterę mam nędzną, lecz w tym samym miejscu, co ów człek. Czuję zgrozę na myśl, że jego wzrok wreszcie spocznie i na mnie, dlatego każdego dnia modłę się żarliwie, by dobry Bóg ustrzegł mnie przed nienawiścią tego przekłętego sługi Szatana. Wszak wyrządził już tyle zła na świecie, a jego ślady znaczone są krwią niewinnych.

Podejrzewam, że Siewca Śmierci zmierza teraz na Sycylię...

– Pozwolicie się przysiąc?

Piszący wzdrygnął się i wielki kleks rozlał się na karcie papieru. Pośpiesznie przesywał go piaskiem i dopiero wtedy podniósł wzrok na nieproszonego kompana. Zadrzał, choć w gościnnej izbie panowała nieznośna duchota. Ze ściskanego kurczowo gęsiego pióra kapwały czarne łzy.

– Niech będzie pochwalone imię Pańskie... – szepnął.

I

Nie wiadomo skąd *L'Isle d'Escargot* wzięła swą nazwę. Może zawdzięczała ją kształtowi, jakby zwiniętej skorupki z zapadniętym środkiem albo odciskom ślimaków znajdujących w wapiennych skałach? Nikt na nią nie zaglądał, bo poza drzewami i kamieniami nie było tam nic ciekawego. Jednak któregoś dnia znalazła lokatora – mężczyznę w średnim

wieku, ubranego w szatę przypominającą mnisi habit. Spod naciągniętego na czoło kaptura patrzyły okrągłe oczy pozbawione rzęs, a nos wyglądał jak zakrzywiony ptasi dziób. Cerę miał szarą, kostropatą, ręce obandażowane szmatami. Fagobert, bo tak się nazwał, zapłacił przewoźnikowi za kurs w jedną stronę i więcej się nie pokazał.

Życie w nadmorskiej wiosce było monotonne, wypełnione ciężką pracą i modlitwą, pozbawione ekscytacji, nowin lub najmniejszej odmiany, więc tajemniczy przybysz budził ciekawość. Dlatego, po miesiącu w odwiedzinach do nowego sąsiada popłynęła nie jedna, ale trzy łodzie.

Na pierwszy rzut oka zdawało się, że wyspa wciąż jest bezludnym kawałkiem lądu. W zatoczce brakowało śladów stóp, nie znaleźli też wydeptanych ścieżek, ściętych drzew, nawet połamanych gałęzi. Dopiero przy tryskającym ze skały źródółku zauważyli szalasa.

Sklecono go z drewna wyrzuconego przez morze, bo na ciemnej powierzchni zachowały się ślady soli. Przed nieforemną budowlą pozostały resztki ogniska obłożonego kamieniami. W popiele odcisnęły się ptasie łapy, obok leżał zavalony trójnóg. W błotnistej kałuży stał kociołek, a spływająca woda przelewała się przez brzegi.

Obozowisko wyglądało na opuszczone i ludzi ogarnęło złe przecucie. Najodważniejszy przeżegnał się, nim zajrzał do szalasu.

Na wymoszczonym trawą posłaniu wały się drobiazgi potwierdzające domysł, że nieznajomy był mnichem, a przynajmniej pątnikiem – mały krucyfiks z różanego drzewa, sękaty kij i muszla, jaką przypinali sobie do odzienia pielgrzymujący do Santiago de Compostela. Nie było tylko Fagoberta – ani żywego, ani martwego.

Rybacy wpierw obeszlą całą wyspę, potem strudzeni napili się wody, pomedytowali chwilę, bo według nich mnich nie mógł odpłynąć niezauważony przez wioskowych, wreszcie, niczego nie wymyśliwszy, wsiedli do kryp i powiosłowali do domu. A następnego poranka czyraki Jacquesa zniknęły.

Wieść rozeszła się błyskawicznie i na *L'Isle d'Escargot* wyprawiła się cała pielgrzymka – kulejący Jean, Marie z bledziutkim, kaszlącym krwią synkiem, bezdietni Pierre i Arletta, stary Antoine, którego łamało w kościach i zasmarkany Paul. Chorzy i zdrowi pili źródlaną wodę z kociołka

i odmawiali modlitwę za nieznanego. Opowiadali potem, że źródło i szalas otacza niezwykła jasność, jakby aniołowie zabrali mnicha wprost do nieba.

Może naprawdę Fagobert cieszył się szczególną łaską Pana, bo katar Paula ustąpił, Antoin poczuł się raźniej, a Jean odrzucił kostur.

To wystarczyło, by ogłosić światu, że dzieją się cuda. Z okolicznych wiosek i miasteczek zaczęli tłumnie ściągać proszący o zdrowie i pomoc w ciężkich terminach.

* * *

Hrabiemu Tuluzy Rajmundowi VI nie sprzyjało szczęście. Północni baronowie z zawiścią patrzyli na bogate ziemie i miasta Południa. Szukali pretekstu do zbrojnej interwencji i pretekst się znalazł, kiedy 14 stycznia 1208 roku zamordowano papieskiego legata Pierra de Castelnuau. O mord oskarżono katarów, pojawiły się nawet plotki, że hrabia osobiście przyczynił się do jego śmierci. Rajmund chciał wierzyć, że jeśli pojedna się z Kościołem Rzymskim i poprze krucjatę ogłoszoną przez papieża Innocentego III, zminimalizuje jej skutki. Zgłosił się nawet na wodza, ale wkrótce zrozumiał, że jego nadzieje były płonne.

Znaczny nadzór nad wojskowymi działaniami powierzono Szymonowi de Montfort, a duchową opieką sprawował Armand Amalric. Opat z Cîteaux bez wahania rozkazał wymordować tysiące winnych i niewinnych katarskiej herezji w Béziers. Zabito szukających schronienia w kościele św. Marii Magdaleny i tych na ulicach miasta, nie bacząc na ich wiek, płeć czy pozycję, wierząc, że Bóg i tak rozpozna swoich.

Kiedy do Tuluzy dotarła wiadomość o cudach na *L'Isle d'Escargot* hrabia Rajmund pomyślał, że oto nadarza się okazja, by zakończyć to szaleństwo. Wysłał listy do papieża oraz biskupa Narbonne, przedstawiając zaszłe na wyspie wypadki i prosząc o ich dogłębne zbadanie. W razie, gdyby znalazły potwierdzenie, przedstawił projekt budowy opactwa przewyższającego niezwykłością *La Merveille* na Mont Saint-Michele. I choć wskazywał argumenty natury teologicznej, tak naprawdę miał nadzieję, że papież doceni jego starania, ostatecznie odrzuci podejrzenia, że hrabia sprzyja heretykom i położy kres rzezi i grabieżom.

Aby zmanifestować szczerą swoich zamierzeń, nie czekał na odpowiedź, lecz wyłożył środki i nakazał rozpoczęcie prac budowlanych. Wyspa obfitowała w wapień, więc sprowadzono kamieniarzy, murarzy i cieśli, którzy postawili niewielki kościółek, wierząc, że wokół niego rozrośnie się monumentalna budowla.

Plany wydawały się bliskie realizacji, bo pewnego poranka na plaży znaleziono wyrzucone przez morze ciało. Było nagie, mocno pokaleczone, lecz z ciągle widoczną tonsurą i rybacy bez wahania rozpoznali Fagoberta. Widać Bóg zwrócił jego doczesne szczątki, aby wierni mogli je odpowiednio uczcić.

Mimo tego niezwykłego wydarzenia wypadki nie potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami hrabiego Tuluzy. Biskup Narbonne zwlekał z odpowiedzią, papież nie odwołał zbrojnych, a rycerze obracali w perzynę miasta i równali z ziemią wsie, bezlitośnie mordując mieszkańców. Wszak nagrodą za udział w krucjacie był odpust zupełny, miejsce w raju oraz wszystkie łupy, jakie udało się wziąć. Dodatkowo rosło ryzyko zarazy, bo zmarłych nikt nie chował, a za udzielenie im ostatniej posługi groziła ekskomunika.

Lata mijały, padł Perpignan, padły Narbonne i Carcassonne, a Szymon de Montfort w bitwie pod Muret pokonał wojska hrabiego Rajmunda VI. Pięć lat później Bóg wezwał do siebie de Montforta, który zginął od uderzenia w głowę kamieniem maszyny miotającej. Hrabia wraz ze swym synem Rajmundem VII powrócili do domu.

W 1222 roku odszedł do Pana także Rajmund VI, a jego następcą zapomniał albo nie wiedział o wydarzeniach na *L'Isle d'Escargot*.

Jednak okoliczna ludność pamiętała Fagoberta i nieustannie odwiedzała wysepkę. Pielgrzymujący do Composteli pod ochroną templariuszy także chętnie nadkładali drogi, by pomodlić się w małym kościółku zwieńczonym żelaznym krzyżem. Było ich tak wielu, że na wyspę sprowadził się kapłan, bo podróż kolebiącą się łódką źle wpływała na jego żołądek, i garbaty kościelny z żoną i piątką dzieci, potem ściągnęli handlarze odpustów i świętych relikwii, a wreszcie między chatami stanął szynk z gościnnymi pokojami dla zamożniejszych pielgrzymów.

L'Isle d'Escargot powoli zmieniała swoje oblicze. Drzewa wykarczowano, ich miejsce zajęły łąki, na których pasły się krowy, owce i kozy, zaorano niewielkie poletka, w warzywnikach rosła marchew, kapusta i rzepa. Na błotnistych podwórkach maluchy taplały się w błocie wespół ze świniami, kobiety pilnowały domostw, mężczyźni trudzili się w polu lub zajmowali handlem.

II

Druga oktawa Zmartwychwstania Pańskiego nie przyniosła spodziewanej poprawy pogody – świeżo wyrosłe trawy falowały w podmuchach zimnego wiatru, fale rozbijały się z impetem o urwisko, ptaki krzyczały ze strachu przed nawałnicą.

Grupa dzieciaków zaganiała owce do zagrody. Kiedy zdawało się, że wszystkie są już bezpieczne, poprzez szum i łoskot przebiło się żałosne beczenie. Najstarszy Jacques zawrócił, a za nim pobiegła jego siostrzyczka Anne.

Wapienne skały porastały trawy i śliski mech, leszczynowe krzaki chłostały pączkującymi gałęziami. Pomiędzy nimi uwięzło jagnię i rozpaczliwie wzywało pomocy.

Chmury zagęściły się, niebo zrobiło się granatowe i lunął deszcz. Przemoczona Anne odgarniała patyki, a Jacques próbował wydobyć wierzgające stworzenie. I nagle zniknął.

Zestrachana dziewczynka wrzasnęła i uciekła. Gnała na oślep po łące, ślizgała się, potykała i przewracała, podnosiła się i znów biegła, póki trafiła na ścieżkę. W pędzie zderzyła się z wysokim młodzieńcem, który zmierzał do wioski.

– Ratujcie, panie. Jacques pod ziemię się zapadł. Ratujcie... – chlipała.

Widać było, że jest przerażona, więc Piat bez namysłu pośpieszył na wzgórze. Anne potruchtała za nim.

W miejscu, gdzie zniknął Jacques otworzył się wąski otwór. Piat krzyknął, a z wnętrza odpowiedział mu pisk przestraszonego chłopca. Wrzucony kamień odbił się po króciutkiej chwili, więc mężczyzna

przeżegnał się, związał pod brodą długie uszy płóciennej czapki, przecisnął się przez dziurę i opuścił się na rękach.

Jacques siedział pod ścianą, tuląc do piersi jagniątko. Chłopiec i zwierzę wyglądali podobnie – oboje bezbronni, pobrudzeni ziemią i trawą, skuleni i popłakujący.

– Stało ci się co? – zapytał Piat.

Dziecko pokręciło przecząco głową, więc młodzieniec – silny i ciekawski – zaczął się rozglądać. Jaskinia była niezbyt wysoka, sucha i widna. Światło wpadało przez wejście usytuowane od strony urwiska. Piat wychylił się i zakręciło mu się w głowie, bo skały schodziły pionowo, a w dole rozbijały się wysokie fale.

– Tędy nie wyjdziemy, chyba że zamienimy się w ptaki – mruknął.

Wapienne ściany miały szarobiały kolor, przy wejściu ubarwiony zielenią mchu. Sufit ozdabiały sopleki nacieków, a między nimi, głową w dół, zwisały nietoperze. W kącie leżało olbrzymie gniazdo z dwoma wielkimi czarnymi piórami zaczepionymi o patyki. Kiedy młodzieniec je kopnął rozsypało się, ujawniając niezwykłą zawartość – płaszcz przypominający mnisi habit, rzemieńne sandały, bieliznę i sakiewki. W jednej z nich było kilka złotych i srebrnych monet, co Piat od razu sprawdził. Krążki miały wyryte wizerunki obcych władców, a zamiast łacińskich podpisów symbole przypominające wijące się robaki. Inną wypełniały mocno pachnące zioła i smolisto czarne kamienie ozdobione dziwnymi rysunkami, a największa, skórzana, zawierała pogniecione papiery. Piat spakował wszystko w tobolek zrobiony z płaszcza, podsadził Jacques'a do ziejącej w suficie szczeliny, podał mu jagnię i wreszcie sam wylazł.

Szczękająca zębami Anne z równym zapalem wyściskała brata i owieczkę, a potem oboje pobiegli w stronę chat. Utyłany błotem, szary od kurzu, który przylepił się do przemoczonego odzienia młodzieniec powlókł się za nimi. Brnąc przez trawę, zastanawiał się, co powinien uczynić ze znalezionym złotem? Owych kilka monet stanowiło spory majątek, więc mógłby postawić nową chałupę i wysłać swatów do Geneviève o oczach błękitnych jak chabry i pszenicznym warkoczu. Przecież należy mu się nagroda za uratowanie dzieciaka, tłumaczył sobie.

Na wyspie panowała niezwykła cisza. Przybyłe podczas nieobecności Piata łodzie zabrały ostatnią grupę, nie przywożąc nikogo. Chłód, deszcz i silny wiatr odstraszyły pątników. Woleli przeczekać słotę w nadmorskiej wiosce niż znosić kołysanie zalewanej przez fale łupiny.

Kiedy młodzieniec wreszcie dotarł do opustoszałego zajazdu postanowienie zapadło. Pokaże znalezisko ojcu wielebnemu, ale o złocie nie wspomni. Jutro odpłynie z wyspy i nigdy więcej nie zawita na *L'Isle d'Escargot*.

Ksiądz był suchy, pochylony do przodu, miał smagłą skórę, garbaty nos i oprószone siwizną włosy. W skupieniu wysłuchał młodego człowieka, po czym obejrzał znalezione przedmioty.

– To Bóg pokierował waszymi krokami – oznajmił uroczyście. – Niechybnie rzeczy te należały do Fagoberta. Wystawimy je w kościele, by poprzez nie wszyscy mogli obcować ze świętym i za jego pośrednictwem doświadczać łaski Pana. Dziękuję ci synu i błogosławię w imię Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Nękania wyrzutami sumienia Piat gorliwie pomagał w oczyszczeniu relikwii i mocowaniu ich na ścianie, w pobliżu ołtarza. W tym czasie wielebny przepatrywał sakiewki. Mocno zdumiony zważył na rękę kamienie, poślinił wydrapane znaki, by odzyskały kształty, wachał zioła, a potem zabrał się do odcyfrowania papierów.

Koniec końców okazało się to niemożliwe – poza liturgią mszy świętej nie znał łaciny. Udało mu się tylko odczytać adresata - Dominika de Guzmán. Imię założyciela Zakonu Głosicieli Słowa Bożego nie było mu obce, więc po namyśle spakował zapiski i przekazał Piatowi z prośbą o posłanie ich do najbliższego zgromadzenia Dominikanów. Wyłożył nawet parę miedziaków na opłacenie posłańca.

Wieść o cudownym znalezisku szybko się rozeszła i na wieczorne nabożeństwo przybyli wszyscy mieszkańcy, nawet ledwo narodzone dzieci w ramionach matek. Po mszy wyspiarze ze czcią całowali rąbek habitu i dotykali sandałów, wierząc w ich cudowną moc. Tylko Piat wymknął się zaraz po podniesieniu, bo skóra go paliła ze wstydu.

Spał niespokojnie, kołatało mu serce, żołądek się skręcał, oblewały poty. Zerwał się jeszcze przed świtaniem, zepchnął na wodę jedną z

wyspiarskich łodzi i odpłynął.

Zamierzał wylądować daleko od wsi, ale nie znał się na sterowaniu i prąd zniósł go wprost na wioskową plażę.

W nadmorskiej osadzie dzień zaczynał się wcześniej. Rybacy wracali z połowów, w wiklinowych koszach rzucały się ryby, dym z wędzarni snuł się między domami i kłuł w oczy, handlarze ustawiali towary na straganach, z zajazdu dochodziły smakowite zapachy.

– Mam pilną wiadomość, którą trzeba dostarczyć do Narbonne. – Piat tłumaczył się napotkanym mieszkańcom, choć nikt go o nic zapytał.

– Ostawcie pisanie w zajeździe. Jak się kto będzie wybierał w tamtom stronę zabierze ze sobą – poradził mu ktoś.

Piat odetchnął. Zostawił listy u karczmarza i ruszył na zapelniające się ludźmi targowisko.

III

Trwający prawie czterdzieści lat konflikt zakończyło zdobycie twierdzy Montségur. Powszechnie uważano, że wraz ze śmiercią jej obrońców ostatecznie wytępiono heretyków, a niedobitkami i tymi, którzy mogli w skrytości im sprzyjać zajęła się Inkwizycja. Życie powoli wracało do normalności, zaczęto uprawiać pola i winnice, odbudowano miasta, a szlaki handlowe stały się bezpieczne. Wraz z kupcami i pielgrzymami do biskupa Narbonne znów zaczęły docierać wieści o cudach dokonywanych na *L'Isle d'Escargot* za wstawiennictwem Fagoberta.

Zdawało się, że nie ma nic prostszego niż oficjalne uznanie przez Kościół świętości skromnego mnicha z wyspy, jednak sytuacja okazała się bardziej skomplikowana, niż wydawało się wiernym.

Rajmund VI, nie czekając na decyzję papieża i biskupa, pochował Fagoberta w ufundowanym przez siebie kościele, a na ołtarzu złożył relikwie – stopę pokornego pątnika, muszlę i krzyżyk z różanego drzewa. Przez wieki takie działania wystarczały, aby uznać kogoś świętym lub przynajmniej błogosławionym. Gdyby podobnego czynu dokonał kto inny, nie ekskomunikowany hrabia heretyk, papież po zasięgnięciu opinii biskupa zapewne dodałby Fagoberta do niebiańskiego panteonu. Lecz tak się nie

stało, a Sobór Laterański IV oficjalnie wyłączył kanonizację spod kompetencji biskupiej i rezerwował takie prawo tylko papieżom.

Biskup ciągle się wahał, czy powinien na nowo podnosić sprawę Fagoberta, kiedy z *L'Isle d'Escargot* nadeszły niepokojące wieści o zarazie, czy też kłątwie, jaka dotknęła wyspiarzy. Należało zbadać, co się wydarzyło, więc zwrócił się do Dominikanów.

Mnisi w czarno-białych habitach uwierali biskupa niczym cierń. Na podlegających bezpośrednio papieżowi inkwizytorów wybierano zakonników, którzy przekroczyli czterdzieści lat, więc nie kierowali się młodzieńczymi porywami, lecz życiowym doświadczeniem, a jako cel stawiali sobie nawrócenie heretyków, nie ich karanie. Wykształceni, zdyscyplinowani, doskonale zorganizowani i niezależni od miejscowych układów Bracia Kaznodzieje wielokrotnie udowodnili podczas inkwizycyjnych postępowań, że nie dadzą się okpić, zastraszyć lub przekupić. A ponieważ pozostawali niewzruszeni wobec gróźb, zamachów i nacisków, więc czego by nie odkryli na wyspie, nikt nie podważy ich świadectwa. To z kolei uwolni hierarchę Narbonne od odpowiedzialności.

Zgodnie z przewidywaniami Dominikanie nie odmówili prośbie i wskazali brata Claudio, wyróżniającego się jako utalentowany poszukiwacz prawdy. Biskup, który koniecznie chciał wykazać dobrą wolę dodał mu do kompanii zaprawionego w bojach rycerza Amilio z Asturii i zbrojną eskortę, a także hojnie wyposażył. I choć skromnemu Głosicielowi Słowa Bożego nie uchodziło podróżować konno, Claudio wraz z innymi dosiadł wierzchowca i ruszył do zagubionej pośród wydm wioski, by stamtąd przeprowadzić się na *L'Isle d'Escargot*.

* * *

Barnard z Nevers choć przekroczył już trzy dziesiątki lat wciąż pędził beztroskie życie kawalera na dworze księcia Burgundii Hugo IV. Jego poezje zdobyły pewien rozgłos, kochały go damy, a książę ceniał jego towarzystwo, bo poeta był dobrze urodzony, liznął nieco wykształcenia i miał otwarty umysł oraz cięty język.

Ten czas zabawy, miłości i filozoficznych dysput skończył się katastrofą, kiedy okazało się, że gorące rymy opiewające urodę i przymioty baronowej Henrietty nie są jedynie fantazją. Przyłapany w alkowie swej

ukochanej Barnard wolał nie czekać na reakcję zdradzonego małżonka, bowiem baron Gulliem słynął z rycerskich umiejętności oraz krewkiego charakteru. Porzucił damę swego serca i salwował się ucieczką.

To niefortunne zdarzenie sprawiło, że szczęście opuściło poetę. Baron okazał się mściwy i Barnard stracił przychylność swego protektora. Od tamtej pory pukał do różnych drzwi i prezentował swoje utwory w coraz podlegszych miejscach. W dodatku wena zdawała się go opuścić i od dawna nie ułożył żadnej pieśni czy poematu. Może dlatego, że częściej był głodny niż syty, a myśl o następnym noclegu zajmowała go bardziej niż szukanie rymów.

Mimo mizernej kondycji Barnard wciąż marzył o stworzeniu nowego utworu doskonalszego od *Roman de l'Estoire dou Saint Graal* czy *Parzivala* i zyskaniu większej sławy niż Chrétien de Troyes, Robert de Boron i Wolfram von Eschenbach razem wzięci. Wreszcie uznał, że w Burgundii nie czeka go już nic dobrego i ruszył na południe. Niedawno zakończona krucjata przeciwko katarskim heretykom wydała mu się wymarzonym tematem na rycerską opowieść. Dlatego od tygodni błąkał się między Tuluzą, Carcassonne, Béziers i Narbonne, szukając natchnienia. Zamiast niego znajdował zgliszcza, śmierć i głęboko skrytą, ale wyzierającą czasem z oczu rozmówców nienawiść do rycerzy z krzyżem na piersiach, którzy w imię Boga mordowali, palili i rabowali dobra niewinnych.

Jednak wędrówka nie okazała się zupełnie bezowocna, bo właśnie w Narbonne poeta usłyszał o cudach na *L'Isle d'Escargot* i zapragnął odwiedzić to święte miejsce. Po oglądanych wcześniej okropnościach wyspa jawiła mu się jako oaza spokoju i szczęśliwości.

* * *

Atmosfera we wsi była senna. Mżyło, niebo zasłaniały ciężkie chmury, nad morzem unosiła się mgła, a woda miała siną barwę. Wiatr szarpał rozwieszonymi na tyczkach sieciami i rozsnuwał dym z wędzarni między chałupami. Platformy zwykle wypełnione suszącymi się rybami stały puste.

Barnard dotarł do osady późnym popołudniem, cały wieczór śpiewał w zajeździe, a w zamian karczmarz go nakarmił i pozwolił przenocować w stajni. Ranek przywitał go deszczem i ziębem, wciskającym się pod

ubranie. Żaden z rybaków nie chciał płynąć na wyspę, czyniąc znak krzyża na każdą wzmiankę o podróży.

Zniechęcony i głodny Burgundczyk siedział w kącie, a po głowie kołatały mu się coraz bardziej ponure myśli. Zamiast spodziewanych inspiracji, w Langwedocji znalazł tylko śmierć i zgliszcza, zamiast bohaterów – bandytów i morderców. Nawet szczęśliwa wyspa, o której śnił nocami okazała się ułudą. Leżała tak blisko, a jednak była niedostępna, a święty nie uzdrawiał, lecz sprowadził zarazę.

Co powinien teraz uczynić zawiedziony poeta? Wrócić do Burgundii? A może podążyć dalej na południe, przejść przez góry i próbować szczęścia na dworze króla Aragonii? Powolutku zaczęła też kiełkować myśl, że życie w pogoni za podniętą jest w gruncie rzeczy jałowe i pozbawione sensu. Lecz gdzie szukać celu, czym zastąpić ów przyjemny dreszczyk, kiedy udaje się znaleźć udany rym, a słuchacze nagradzają oklaskami nową pieśń czy poemat? Tego Barnard nie wiedział.

Z tych rozważań wyrwał go nieoczekiwany hałas. W drzwiach stanął rycerz w płaszczu zarzuconym na kolczą zbroję. Wyprostował się, zdjął i strzepnął okrycie, aż kropelki deszczu zawirowały w powietrzu.

Nawet w rynsztunku wydawał się niezwykle chudy. Pociągłą, kościstą twarz z wydatnym nosem ozdabiały długie, opuszczone ku dołowi wąsy i krzaczaste brwi, nogawice zwijały się wokół krzywych nóg. Za nim do wnętrza wsunął się zakonnik w czarno-białym habicie.

Barnard przyglądał się przybyszom z mieszaniną ciekawości i lęku. Dość się nasłuchał o Inkwizycji, a ponura sława Roberta Le Bougre i Konrada z Magdeburga nie świadczyła dobrze o jej narzędziach, wśród których niepoślednią rolę pełnili Dominikanie. Z drugiej strony Bracia Kaznodzieje cieszyli się wyjątkowym poważaniem.

– Niech dobry Pan błogosławi temu domostwu i jego mieszkańcom – odezwał się zakonnik, a rycerz zawtórował mu w powitaniu potężnych kichnięciem.

– Na wieki wieków – wymamrotał gospodarz, kłaniając się w pas. – Prosiemy, prosiemy dostojnych panów. Siadnijcie, zara wina przyniosę i stawę.

– Byle dużo – burknął rycerz i rozgościł się przy największym stole.

Dominikanin przysiadł obok, rozejrzył się po ciemnej izbie i dostrzegł kulącego się w kącie Barnarda, który co prawda suknie miał mocno znoszone, ale pańskie, nie chłopskie.

– Do kompanii prosimy – uśmiechnął się.

Rycerz obruszył się i mruknął coś o hołocie, która zbyt wysoko zadziera nosa. Poetę te uwagi ubodły do żywego. Na przekór wcześniejszym obawom podniósł się i siadł obok zakonnika.

– Nazywam się Barnard z Nevers. Niegdyś poeta na dworze księcia Burgundii, a teraz wolny ptak – przedstawił się.

– Jam jest brat Claudio, a to rycerz Amilio z Asturii w służbie biskupa z Narbonne.

– Cóż taka ważna persona robi w tej dziurze? – spytał uszczypliwie rycerz.

– Przybyłem odwiedzić słynącą cudami *L'Isle d'Escargot*, ale szczęście mnie opuściło. Ponoć na wyspie panuje morowe powietrze.

Rycerz wzdrygnął się, a zakonnik złożył ręce w rękawach i przymknął oczy.

– W całej przyrodzie nic się dzieć nie może bez udziału sił nadprzyrodzonych, dlatego los nas wszystkich jest w rękach Boga. Jeśli wyspiarzy powaliła zaraza należy im się chrześcijański pochówek. Ale w opowieściach świadków zgodności w tej kwestii nie ma.

Barnard odniósł wrażenie, że te słowa nie zostały skierowane do niego, lecz do Amilia, jakby Dominikanin i rycerz wiedli ze sobą jakiś spór.

– Wybieracie się na wyspę? – spytał, by się upewnić, czy dobrze zrozumiał.

– I owszem – potwierdził z mocą zakonnik.

Amilio zacisnął usta. Widać, mimo groźnego wyglądu nie on miał ostatnie słowo.

– Trzeba nam jeszcze dziś przepytać ludzi – wycedził przez zęby.

Karczmarz postawił na stole miskę parujących jagłów ze skwarkami. Barnarda od zapachu skrzyło w dołku.

– Głodniście – domyślił się brat Claudio. – Posilcie się, dla wszystkich starczy.

– Z podziękowaniem. Ostatnio nie wiedzie mi się najlepiej.

– W Langwedocji brak pięknych dam, czy poeci nie mają wzięcia? A może wasze rymy takie marne? – zakpił Amilio, pakując do ust kopiastą łyżkę kaszy.

– Raczej bohaterskich rycerzy, których czyny można by w poematach opiewać, jak na lekarstwo – odciął się Barnard.

– Chrześcijaninowi bardziej duchowa posługa potrzebna, niż pieśni – pouczył Dominikanin. – Miast w poezji ukojenia i nauki powinni szukać w modlitwie, bowiem dobra i szczęścia człowiek nie może zdobyć sam, lecz tylko z pomocą Boga.

W ustach Barnarda grubo kraszone jagły nagle zyskały smak popiołu. Grzecznie podziękował i wyszedł na zewnątrz. Stał w progu i zaraz otrząsnął się niczym pies, bo za kołnierz kapała mu deszczówka spływająca z dachu.

Poprzez szum wiatru słyhać było parskanie koni i głosy pachołków dochodzące ze stajni. Poeta ruszył się spod okapu, zajrzał do pachnącego sianem i końmi wnętrza, upewnił się, że jego tobołek jest bezpieczny i postanowił obejrzeć okolicę.

Wlókł się, pozostawiając głębokie ślady w mokrym piachu. Ożywienie spowodowane przybyciem niespodziewanych gości opadło, wróciło przygnębienie potęgowane ponurym krajobrazem. Wydmy z kępkami suchych traw wyłaniały się z mgły jak przyczajone potwory i znikaly, kiedy je minął, wzdłuż zasypanej ścieżki stały zbite z klekoczących desek stragany, wiatr zawodził złowróźnie. Nawet obdarzonemu bujną fantazją poecie trudno było sobie wyobrazić, że nie tak dawno targ musiał tętnić życiem, przekupnie głośno zachwalali swoje towary – świeże i wędzone ryby, chleb, garnuszki miodu. Pielgrzymi przybywali z daleka i u kresu podróży zapewne nie żalowali pieniędzy na pachnący chlebuś, czy słodki miód.

Zziębnięty i przemoczony Barnard zawrócił. Przed stojącą najbliżej zajazdu chałupą zakonnik i rycerz rozmawiali z zarośniętym rybakiem, którego nogawic uczeplił się zasmarkany dzieciak. Ciekawski z natury Burgundczyk przystanął obok i słuchał.

– ...W ten sam dzień umarł Piat. Silny był, młody, musi zaraza go powaliła. Pątnicy uciekli i dobrze, bo ino żarli, chleli i dziewczki na rozpuste

ciągłi, tfu, obraza boska. Pewnikiem po drodze ostrzegli innych, bo nikt nowy nie przychodzi. Zarobek się skończył i cisza, jak na żalniku... – mamrotał chłop, którego wołali Bézu. – Ino raz żem na wyspe popłynął i nikogom nie widział, ino puste chałupy. A jakby sie kto żyw ostał, sam by do wsi zawitał, łodzie przeca tam zostały. Widno wszytcy pomarli...

– Powiedzcie o ptakach – pisnęło dziecko.

– Cichej, smarku. Co wielmożnych panów obchodzą ptaki? – skarcił go ojciec i palnął w łepetynę. Chłopaczek schował się w chałupie, poprzez szuranie bosych stóp słycać było, jak pociąga nosem.

– Opowiedzcie – zachęcił rybaka brat Claudio.

– Ano, ptaki przyleciały. – Rybak poskrobał się po głowie. – Mewy, kruki, gołębie, wróble...

– I sroka – uzupełnił dziecięcy głosik, wciąż nabrzmiały od łez.

– ...całe mrowie. Obsiadły łodzie, dachy, kramy. A skrzeczały, że strach.

– Jedyń mie dziubnął – znów wtrącił się głosik.

– Kamieniami my je pogonili i poszły precz, ino pirze fruwało.

– Dokąd odleciały? – zainteresował się mimo woli Barnard.

– Cheba za morze – Rybak wzruszył ramionami.

Amilio, który miał dość tego nieskładnego bełkotu, odwrócił się i odszedł bez słowa. Zmieszany, zaczerwieniony Bézu stał z pomiętą czapką, nie wiedząc, czy się cofnąć, czy jaśnie panowie będą go jeszcze męczyć.

– Zostańcie z Bogiem – pożegnał go brat Claudio i podreptał do zajazdu. Barnard podążył za nimi.

Do framugi przykleiło się lśniące zielenią piórko. Poeta zdjął je i przeciągnął palcem po stosinie.

– Niesłychana to rzecz, by sroki i gołębie latały za morza – mruknął.

Zamyślony wszedł do stajni i przysiadł na sianie. Pachołkowie właśnie się posilali i chętnie podzielili się jadłem i winem. Okazali się bywali w świecie, rozmowni i przyjaźni. Choć wino było cienkie i dodatkowo zmieszane z wodą, a kasza bez omasty, Barnardowi smakowała bardziej, niż ta jedzona w towarzystwie zakonnika i rycerza. Żeby się jakoś odwdzięczyć wyjął lutnię, nastroił ją i zaintonował powszechnie znaną piosenkę, a oni wtórowali mu grubymi głosami.

Zwierzęta parskały i tupały w przegrodach, oddechy parowały, zapach wilgotnego siana mieszał się z zapachem wina i końskich jabłek. Rozmowa stawała się coraz swobodniejsza.

– Strach na wyspę płynąć. Może zaraza wybiła wszystkich albo diabeł porwał ich do piekła?

– Pełnia się zbliża, kiedy demony mają największą moc – zadudnił basem najstarszy ze wszystkich Joaquim. – Pamiętacie Montségur i tych heretyków przeklętych? Kiedyśmy zakładników palili też pełnia była... Widziałem, jak demony krążą nad nimi i zabierają do otchłani. A krzyczały tak przeraźliwie, że musiał uszy zatykać. Wreszcie ogień ich pochłoniął, ino popiół się ostał.

– Byliście pod Montségur? – zainteresował się Barnard.

– Pan Amilio łasy na rycerską sławę...

– I łupy – wtrącił ktoś.

– ... i zamiast czterdziestu dni, strawił tam dziesięć miesięcy. Ale w tej twierdzy przeklętej ani sławy, ani łupów nie zyskał.

– Powiadają, że heretykom udało się bajeczne skarby ukryć.

– Poza dobytkiem obrońców niczego tam nie znaleźliśmy, ino gołe ściany, chocia zajrzeliśmy w każdy kąt i opukali mury – wrzუსzył ramionami siwy Joaquim.

– Straszne to miejsce i obrońcy bardzo zawzięci. Błuznili nawet w obliczu śmierci – mruknął czerwony na gębie Pauli i przeżegnał się. – Niech będą potępieni na wieki wieków.

– Amen – dokończyli wszyscy zgodnym chórem.

Siano szeleściło, kiedy mężczyźni mościli sobie legowiska, potem rozległy się odmawiane szeptem pacierze, a wreszcie chrapanie.

Barnard okręcił się płaszczem, było mu ciepło i wygodnie, a w żołądku mile ciążył posiłek, jednak sen nie przychodził.

Słyszał oczywiście o Montségur, lecz bał się samotnie zapuszczać w góry. Teraz nadarzała się okazja, by usłyszeć relację z ust naocznego świadka i uczestnika zakończonego sukcesem oblężenia. Co prawda Amilio nie wyglądał na chętnego do zwierzeń, mimo to, jeśli Barnardowi uda się odpowiednio połechtać jego dumę, z pewnością opowie o szczegółach. Kto wie, może w tej historii znajdzie wreszcie wątek wart poematu?

Żeby tak się stało, powinien towarzyszyć zakonnikowi i rycerzowi w wyprawie na *L'Isle d'Escargot*.

Z tym postanowieniem, trochę strasznym, a trochę podniecającym Barnard wreszcie zasnął.

IV

Różne myśli mnie nachodzą. Raz mi się zdaje, że ów człek, który mieni się Inigo, nie może być tym, za kogo go bierzemy i śledzę go nadaremno, innym – że daje fałszywe świadectwo.

Okoliczności tak się ułożyły, że podróżujemy razem. Współ przełynęliśmy morze i wylądowali w Mesynie. Rzekłem mu, że zmierzam do Composteli, co przyjął jako naturalne. Wstyd mi za to kłamstwo i już ślubowałem Bogu i Najświętszej Pannie, że jeśli wyjdę z tych terminów bez szwanku, naprawdę pomodłę się u grobu św. Jakuba.

Inigo jest miłym kompanem, uczynnym, rozmownym i kształconym. Mówi biegle w wielu językach, zna łacinę i grekę, nieobce są mu dzieła Platona, Arystotelesa oraz ojców kościoła św. Pelagiusza i Augustyna. Wciąż próbuję wybadać, co myśli w tym albo innym temacie, ale jego wypowiedzi w kwestiach teologicznych są bardzo ostrożne i niejednoznaczne. Boję się go nagabywać, aby nie nabrał podejrzeń...

– Pozwolicie, abym zabrał się wami na *L'Isle d'Escargot*? – zapytał Barnard.

Zdumiony Dominikanin podniósł głowę znad listów, które przekazał mu rankiem karczmarz. Amilio odłożył pajdę chleba i otarł wąsy.

– Nie boisz się zarazy, poeto?

– Jako rzekł wczoraj brat Claudio, nasz los spoczywa w rękach Jedynego. A ja ślubowałem jeszcze w Narbonne, że pomodłę się przy grobie Fagoberta.

– Bóg wyznacza ścieżki naszego żywota – pokiwał głową zakonnik. – Widać Jego pragnieniem jest, abyście dopełnili swojego ślubowania, panie Barnardzie.

– Tedy zbierajmy się – burknął rycerz, który od poranka miał kiepski humor.

Burgundczyk pobiegł po swój tobołek, a Dominikanin złożył starannie listy, schował do sakwy i oddał karczmarzowi.

– Żal, żeby zamokły na deszczu. Zabiorę, jak wracać będziemy. Kogo radzicie zgodzić na przewoźników?

Karczmarz polecił im Bézu i jeszcze jednego rybaka, jako silnych i wytrwałych, więc skierowali się prosto do ich chat. Chłopi popatrzyli w niebo i na morze, kręcąc głowami z powątpiewaniem, ale rycerz nie zamierzał odwlekać wyprawy na kolejny nużący dzień.

Łodzie zepchnięto daleko od brzegu, bo pod znacznym ciężarem zanurzyły się głęboko. Przewoźnicy sterowali, poganiani przez Amilia pacholanki przyłożyli się do wiosł.

L'Isle d'Escargot – plama zieleni na tle sinej wody – leżała niezbyt daleko od lądu. Wystarczyło płynąć na południe, by wylądować w piaszczystej zatoczce.

Wysoko unosiły się stada mew, które zwykle towarzyszyły rybakom w nadziei na łatwy kąsek. Deszcz już nie mżył, lecz padał grubymi kroplami, powietrze było lodowate, a nisko nad wodą wisiała mgła. Wiatr szarpał tumanem, rozrywał go na strzępy i znów zbijał w szarą masę. Zdawało się, że minęły całe wieki i krypy wypłynęły na pełne morze, a oni będą błąkać się, aż umrą z pragnienia i wyczerpania, albo skończą niczym Jonasz w brzuchu wieloryba.

Brat Claudio wyciągnął różaniec, na który składały się trzy wieńce paciorków – sto pięćdziesiąt małych i piętnaście dużych, oddzielające każdy kolejny dziesiątek. Z pierwszych pięciu dużych koralii pierwszy był wielobarwny, gdyż oznaczał liczne grzechy modlącego się oraz sto pięćdziesiąt grzechów świata i tyleż kar, i utrapień. Drugi, biały, symbolizował śmierć oraz sto pięćdziesiąt jej niebezpieczeństw. Trzeci, czerwony, jako znak sądu – szczegółowego i powszechnego – i sto pięćdziesiąt jego straszliwości. Czarna barwa czwartego paciorka wskazywała piekło i sto pięćdziesiąt jego ogólnych kar. Piąty w kolorze złotym przedstawiał chwałę niebieską i sto pięćdziesiąt jej radości. Zakonnik głośno odmawiał modlitwę, a pozostali przyłączali się do chóru.

Barnard wtórował swym dźwięcznym głosem, słyhać też było dudniącego Amilio.

Rycerz nie przyznałby się, chyba, że na spowiedzi, jak śmiertelnie boi się wody. Od chwili, gdy wyruszyli prześladowały go wizje wywracającej się do góry dnem łodzi i zamykających się nad głową odmetów. Próbuje się wydostać, lecz ciężka kolczuga i nasiąknięta przesywanica ciągną go na dno. Wreszcie poddaje się i tonie, samotny w głębinach.

Amilio wstydził się swego strachu, próbował go przełamać, zawsze pierwszy rzucał się do przepawy, choć to niewiele pomagało. Lęk wracał w koszmarach przeżywanych we śnie i na jawie, odbierał godność, umniejszał poczucie własnej wartości.

Wreszcie, w kolejnym prześwicie między pasmami mgły zamajaczyła wyspa. Pokrzepieni tym przejawem boskiej opatrności pachołkowie zaczęli raźniej wiosłować i wkrótce przybili do zielonej od wodorostów, usłanej kamieniami i drewnem plaży. Daleko od fali, prawie pod samą skałą stały krypy z wiosłami złożonymi wzdłuż burt. Oblepiał je piach, do środka napadło deszczówki, ale wyglądały na nieuszkodzone.

Przewoźnicy zawrócili, obiecując stawić się popołudniem. Na wszelki wypadek rycerz nakazał powrót także dwóm pachołkom, którzy mieli dopilnować, by nie zapomnieli o pozostawionych na wyspie pielgrzymach.

L'Isle d'Escargot wydała się Barnardowi nienaturalnie cicha. Nie słyisał wiatru szeleszczącego w koronach drzew czy ptasich głosów, chociaż na piasku dostrzegł liczne ślady trójpalczastych łapek i guano. Jedyne gdzieś z daleka dobiegał drażniący uszy dźwięk, którego w żaden sposób nie potrafił zidentyfikować.

Dominikanin rozglądał się, szukając drogi po urwisku zamykającym wąską łąchę.

W skale wyciosano nierówne stopnie zgodne z ukształtowaniem terenu – niektóre wąskie i strome niczym drabina, inne szerokie. Dla wygody pielgrzymów obok zwieszała się lina, pomagająca przy wspinaczce.

Brat Claudio ruszył pierwszy. Po kilku krokach bał się spojrzeć w dół, a stromizna nie pozwalała zobaczyć, co znajduje się u szczytu, więc przed oczami miał tylko szarą i mokrą wapienną skałę. Wrzasnął, bo

niespodziewanie dotknął czegoś żywego i cofnął rękę. Przez chwilę chwiał się, by złapać równowagę i wreszcie zerknął w górę.

Na urwisku siedziały ptaki – ciche i nieruchome, niczym wyrzeźbione w kamieniu posążki, i śledziły paciorkowatymi oczami każdy gest zakonnika. Kiedy stanął na szczycie rozstąpiły się, tworząc przejście. Nie przestraszyły się podążających za nim pachołków, dzwoniącego żelastwem rycerza ani Barnarda.

– Precz, precz! – krzyknął Amilio i rzucił kamieniem w najbliższego.

Mimo że okruch wapienia trafił w skrzydło, mewa nie odleciała, nie cofnęła się nawet. Rozbrzmiał tylko krótki krzyk bólu, białe pióra poczerwieniały od krwi, okrągłe ślepka zaszklily się i spłynęła z nich pojedyncza łza.

– W imię ojca i syna..., to jakieś czary – przeżegnał się rycerz.

Brat Claudio wskazał murowaną budowlę.

– Tam jest dom boży, a żadne zło nie ma w świętym miejscu przystępu.

Wystawiony na nieustanne działanie wilgoci i wiatru biały wapień poszarzał i porósł mchem. Kościółek zbudowano na planie prostokąta, do głównego budynku przytulała się wieża. Centralnym elementem była rotunda, gdzie znajdowało się wejście do świątyni, półokrągłą apsydę zwrócono ku wschodowi, okna umiejscowiono wysoko. Krzyż na dachu kołysał się i poskrzypywał żałośnie w podmuchach wiatru, tak samo skrzypiały niedomknięte drzwi. Deski, z których je zbito wypaczyły się i między nimi ziały szerokie na palec szpary.

Barnard odetchnął, kiedy zrozumiał, że właśnie chwiejący się krzyż był źródłem niepokojącego dźwięku. Pchnął rozlatujące się odrzwia i wszedł do środka, a za nim pospieszili zakonnik i rycerz.

W pierwszej chwili mrok otulił ich niczym całun, bo wąskie smugi światła krzyżowały się na ołtarzu. Przybysze widzieli jedynie stojący na podwyższeniu krucyfiks z ramionami wydłużonymi przez cienie. Twarz przybitego do krzyża Chrystusa wyrażała bezmiar cierpienia, spleciona z cierni korona była niczym rozświetlona aureola, z ran płynęła krew. Powietrze wibrowało od jęków bóleści.

Porażony tym widokiem brat Claudio upadł na kolana i zaczął się modlić. Z oczu płynęły mu łzy, bo czuł ten sam ból, to samo cierpienie, lecz

równocześnie niemal ekstatyczną radość, że ta męka nie była nadaremna.

Amilio macał rękami w poszukiwaniu łuczywa lub świecy. Trafił na ogarek i skrzesał ognia. Przy wątłym płomyczku wypatrzył biegnącą wzdłuż ścian drewnianą półkę i stojącą na niej świeczkę. Przypalił ją, a potem następną i następną, aż wewnątrz rozświetliło się płomienistym okręgiem.

Rycerz podświadomie spodziewał się nagich ścian, tymczasem wizerunki Bogarodzicy obwieszane były wotami. Ruszył wzdłuż murów, podziwiając krzyże – całkiem proste, drewniane i wymyślnie rzeźbione albo misternie splecione z żelaznych drucików i ozdobione klejnotami, saraceńskie miecze w złożonych pochwach zdobyte w Ziemi Świętej, srebrne lichtarze. Za nim postępowali Claudio i Barnard, obaj równie zdumieni zamożnością pozornie skromnego kościołka.

Z prawej strony ołtarza pochowany był Fagobert. Światło odbijało się od wypolerowanych setkami kolan desek podłogi, a miejsce spoczynku znaczyła szlifowana płyta bez żadnych ozdób. Spod zwiędłych kwiatów wyłaniał się napis:

„Tu spoczywa Fagobert, czyniący cuda.”

Obok, w kącie, oparte o ścianę stały kule – przycięte z gałęzi, z uchwytnymi wyslizganymi od trzymających je dłoni. Sądząc po wysokości należały do dziecka. Zapewne pozostawiono je, by świadczyły o bożej łasce, której uzdrowiony doświadczył za wstawiennictwem mnicha. Poetę poruszyły bardziej niż drogocenne podarunki rozwieszane na ścianach, a przez głowę przemknęła mu bluźniercza myśl, że takie wydarzenie bardziej zasługuje na poemat, niż rycerskie czyny na polu bitwy. Bo cóż jest wzniosłego w zabijaniu się, choćby w najbardziej honorowy sposób? Prawda, że zmarli zyskiwali znacznie więcej niż doczesne dobra, wszak ich nieśmiertelne dusze zażywały wiecznego szczęścia u boku Pana, ale czy ziemskie życie, tak przecież krótkie, musi być jedynie pasmem udręk?

– Pomódlmy się, aby podziękować dobremu Bogu za wszelką łaskę, jaką nas obdarza i za spokój duszy Fagoberta – zaproponował w uniesieniu.

Rycerz zmierzył Barnarda krzywym spojrzeniem.

– Wypełnij swoje śluby, poeto, lecz my mamy co innego do zrobienia. Trzeba nam przeszukać wyspę i ustalić, co się stało z mieszkańcami.

– Rację macie panie Amilio – potaknął brat Claudio. – Ale i Barnard ma słuszość, żeby modlitwą uradować Najwyższego i syna Jego, Jezusa Chrystusa.

– Później, bracie. Przy tej pogodzie szybko się ściemni, a nam mus zajrzeć w każdą dziurę.

Ciekawość przeważała nad potrzebą modlitwy i Barnard tylko się przeżegnał. Współ z zakonikiem zagasili świece, ostatnią kładąc przy wejściu, by łatwo było ponownie po nią sięgnąć.

V

Zbrojni stali tuż pod murami. W dłoniach trzymali obnażone miecze, twarze wyrażały zdumienie pomieszane ze strachem.

Kilka kroków przed nimi, na drewnianych konstrukcjach opustoszałych kramów i na ziemi przycupnęły ptaki. Na widok wychodzących z kościoła ich nienaturalny spokój prysnął i podniosły rwetes. Mewy przekrzykiwały gołębie, skrzek srok mieszał się z ćwierkaniem wróbli i krakaniem kruka. Brzmiało to niczym kłótnia, bo dodatkowo młóciły skrzydłami, przepychały się, wlatywały w górę i znów przysiadaly.

– Pewnie to demony, które przybrały postać ptactwa – orzekł rycerz i przeżegnał się trwożliwie. – Trzeba je wybić.

– Nie pojmiesz, patrząc, staraj się zrozumieć, wierząc – szepnął zakonnik. A potem zdjął z szyi krzyż i natężył głos: – Rozstąpcie się w imię Boga!

Może święty znak, a może krzyk sprawił, że stado wzbiło się w powietrze i zatoczyło krąg nad głowami ludzi, a potem zniknęło.

Zebrani odetchnęli, tylko rycerz Amilio nie rozpogodził się, przeciwnie nachmurzył jeszcze bardziej.

– To dowód, że piekielne moce wzięły wyspę w posiadanie – powiedział, ruszając wydeptaną ścieżką. – Trzeba zgładzić te przeklęte ptaki, nie błogosławić.

Dróżka prowadziła do źródelka. Na wapieniu pozostały ślady kopcia, wszędzie poniewierały się pióra. Rosnące w pobliżu krzaki ozdabiały setki gałganków. Barwy niektórych wyblakły, inne przyciągały wzrok

czerwienią, błękitem i żółcią. Brat Claudio, który wizytował domy zakonne w Ziemi Świętej rozpoznał praktykowany tam obyczaj wiązania kokardek na znak, że zaniesiona do świętego prośba została spełniona. Może jaki krzyżowiec pierwszy zawiązał szmatkę, a inni poszli za jego przykładem?, domyślał się.

Wszyscy słyszeli o cudownym źródle, więc chociaż nic im nie dolegało, napili się wody, a pacholki nawet nabrali jej do bukłaków, na zapas.

Spod skały ścieżka wywiodła ich do osiedla złożonego z kilku przygarbionych chałup i zajazdu. Strzechy porastał mech, w okienka wstawiono błony. Na tonących w błocie podwórzach taplały się świnię, kury rozgrzebywały rozmięktłą ziemię albo siedziały nastroszone pod osłoną sterty drewna i na żerdziach pod dachami. Wokół chat nie było płotów, więc żywizna mogła swobodnie włóczyć się po okolicy, lecz z przyzwyczajenia wracała na własne podwórka.

Wpierw zajrzeli do zajazdu.

Gdyby nie gruba warstwa kurzu osiadła na podłodze i na sprzętach, wspólna sala i izby dla gości wyglądały, jakby opuszczono je ledwie na chwilę. Na kołku ciągle wisiał płaszcz, na łóżku leżała słomiana kukielka, oparty o stół stał okuty żelazem kostur, na podłogę spadła miedziana moneta i muszla. W garnkach znaleźli zaśmierdłą strawę, w spiżarni owinięty czystą szmatką, spleśniały chleb.

W innych chatach było podobnie, tyle że tam w drzwiach brakowało skobli, więc zwierzęta w poszukiwaniu jada wchodziły do środka. Pozostawiły ślady racic i delikatne wzory łapek, kłaczki sierści i puchu; widać dziwne ptaki buszowały w mieszkalnych izbach. Straszny okazał się widok kolebki z poszarpanymi powijakami i lśniącym, czarnym piórem zaczepionym o drzazgę. Barnardowi przebiegła przez głowę upiorna myśl, że stado zadziobało i pożarło mieszkańców.

Najbardziej przygnębiające wrażenie sprawiało obejście księdza. Jako jedyne okolone płotem, z pobielonymi ścianami wyglądało na zadbane i dostatnie. Jednak ten dostatek obrócił się przeciwko zamkniętym w obórcie zwierzętom. Świnie i krowa z urodzonym wiosną cielakiem zdechły z głodu. W otwartych ślepiach zastygł ból i jakby zdziwienie, że opiekunowie

tak bardzo zawiedli. Padlina cuchnęła okropnie, a ponad nią unosiły się roje małych muszek, które wciskały się do ust i nosa.

– Cokolwiek się zdarzyło, musiało stać się nocą, inaczej żywizna byłaby na pastwisku – rozmyślał głośno Barnard.

Nie mógł oderwać oczu od skobla. Wyglądało, jakby ktoś albo coś próbowało go niedawno wyłamać. Drzazgi miały jaśniejszą barwę, a ślady nasuwały poecie skojarzenia z mocnym dziobem walącym w drewno. Lecz w jakim celu ptak chciałby otworzyć drzwi? Aby pożywić się padliną mógł przelecieć ponad nimi, bo zagrażały dostęp ledwie w połowie.

– W nocy złe duchy zyskują największą moc – stwierdził Dominikanin.

Amilio wzdrygnął się i spojrzał na niebo. Do zmierzchu pozostało dużo czasu, lecz gnane wiatrem sine chmury zasłaniały słońce, nadając krajobrazowi posępny wygląd. Nad wzgórzami wisiała mgła, deszcz padał coraz mocniej.

W księżej chacie także cuchnęło. Pościel na łóżku upstrzona była gównem i piórami, niektórymi ze śladami krwi. Zawirowały w powietrzu pod wpływem przeciągu i odsłoniły wielki, ciężki klucz. Brat Claudio zabrał go, na wszelki wypadek.

Po pastwiskach rozciągniętych na wapiennych skałach błąkały się osamotnione krowy, kozy i stadko owiec. Kilka sztuk bydła rozszarpały dziczące psy, inne padły, bo nie potrafiły zgubić mleka.

Mimo że przetrząsnęli każdy zakamarek, zajrzeli w każdą rozpadlinę i rozgarnęli krzaki, poza ścierwem nie znaleźli żadnego śladu ani żywych, ani umarłych mieszkańców. Nie było także podejrzanych przedmiotów, odwróconych krzyży czy węzłów czarownic.

Zmęczeni, zziębnięci i przemoczeni zawrócili do wioski.

VI

Ptaki powróciły. Nastroszone i czujne siedziały na strzechach i w wykuszach okien, obserwując przybyszów.

– Zabierzmy wota, bo na tej przeklętej wyspie nikomu się nie przydadzą i wracajmy. Może przewoźnicy już czekają? A jeśli nie, i tak sobie poradzimy. Pamiętajcie łodzie na plaży? Wystarczy kierować się ku

północy, a trafimy na ląd – odezwał się głośno rycerz, jakby rzucał wyzwanie milczącym obserwatorom.

– Słusznie – poparł go dzwoniący zębami ze strachu i zimna Barnard. – Niczego więcej tu nie wskóramy.

Nagle, bez ostrzeżenia ptaki zerwały się do ataku. Krakąły, ćwierkały, skrzeczały i gruchały, podlatywały blisko, dziobały. Może pragnęły zatrzymać ich na wyspie albo zamknąć dostęp do świątyni? Kulący się zbrojni wyciągnęli miecze i zaczęli machać na oślep. Komuś udało się strącić powolną mewę.

Stado niespodziewanie odstało.

Ptak spadł w błoto, muśnięte ostrzem skrzydło załamało się pod nienaturalnym kątem. Amilio trącił go czubkiem miecza, żeby dokładniej obejrzeć.

Mewa wyglądała zwyczajnie, miała mocny czerwony dziób i łapy, szaro zakończone skrzydła. Może tylko oczy były inne, niemal rozumne i pełne udręki.

Brat Claudio samymi opuszkami palców dotknął zwieszanej głowy i uczynił znak krzyża. Mewa zamknęła ślepkę. Skonała.

– Co czynisz? – krzyknął Amilio.

– Diabeł może się transformować w każdą postać, lecz powinien porzucić to ciało pobłogosławione znakiem Pana Naszego i ukazać się w całej swej szpetocie.

– Widać jest bardzo zawzięty.

Wróbel, nastroszona kuleczka brązowego puchu, z żółtym paskiem u nasady dzióbka przycupnął między pokrwawionymi piórami. Stado zawiodło żałobną pieśń. Przestało zważać na przybyszów, którzy bez przeszkód dotarli do kościoła i ponownie zapalili świece.

Z nieskrywaną pazernością rycerz zaczął zdejmować ze ścian ofiarne przedmioty. Do tłumoka z przesiąkniętego wodą płaszcza ładował naszyjniki, pierścienie, klejnoty i broń. Zawahał się tylko przed obrazem Bogarodzicy w złotej sukience i koronie z rubinów. Miał chęć odrzeć Przenajświętszą Matkę Chrystusową z drogiego ubioru i pozostawić nagi wizerunek. Ostatecznie jednak nie starczyło mu odwagi i zapakował

obraz, postanawiając zwrócić go biskupowi Narbonne. Być może, ujęty podarunkiem hierarcha zapomni o reszcie skarbów?

Amilio przeżył ogromne rozczarowanie po zdobyciu Montségur. Liczył na bogate łupy, a nie dostał nic, bo nic w twierdzy nie było. Dziesięć miesięcy oblężenia poszło na marne, a pokonanie czterystu obrońców przez dziesięcioletnią armię i spalenie heretyckich zakładników nie przysporzyło nikomu chwały.

Przyglądający się poczynaniom rycerza Barnard ostatecznie wyzbył się złudzeń. Nawet gdyby Amilio poczęstował go opowieścią o bohaterskich potyczkach i nie uwierzyłby. Już nie. I tak jak niegdyś rozczarował się do ideałów dworskiej miłości, tak teraz ostatecznie porzucił myśl o stworzeniu rycerskiego poematu.

Brat Claudio przystanął pod pustym ołtarzem. Rozejrzał się, dotknął zawieszzonego na ścianie płaszcza i sandałów, pomacał sakiewkę z ziołami, wreszcie w półmroku dostrzegł solidne drzwi. Wtedy przypomniał sobie o kluczu znalezionym na posłaniu księdza.

Monstrancja była złota, ozdobiona karneolami i turkusami, tak samo kielich, w którym przechowywano hostię i relikwiarz. Widać wyszły spod ręki jednego złotnika. Znalazł się także spory zapas kadzidła i przepięknie haftowane ornaty.

Zakonnik ze czcią zebrał święte przedmioty i wrócił do prezbiterium. Czuł potrzebę modlitwy, oczyszczenia się ze strachu, który nim owładnął, wzmocnienia ducha. Chociaż rozsądek podpowiadał, aby jak najszybciej opuścić wyspę, postanowił odprawić nabożeństwo.

Przymknięto drzwi. Dym z płonących świec unosił się ku górze i wypływał przez wąskie okienka, kadzidło napełniło kościółek słodkim zapachem.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti...* – zaintonował Dominikanin.

Na zewnątrz deszcz przybierał na sile i siekł bezlitośnie, huczał wiatr. Silniejszy podmuch sprawił, że drzwi się otwarły i przeciąg zagasiał większość świec. Umocowany na wysokiej podstawie krzyż zakolebał się niebezpiecznie.

Do świątyni wsunął się czarny łeppek. W okrągłych ślepkach odbijały się złote płomienie, na piórach lśniły krople wody. Kruk wszedł do środka, a za nim rzędem podążyło stado. Wróble podskakiwały, mewy kolebały się na boki, gołębie drobiły czerwonymi łapkami.

Huknął grom, zatrzęsnęły się drzwi. Kołyszący się krzyż spadł. O włos minął stojącego ze wzniesionymi w górę rękami brata Claudio i wsparł się na ołtarzu. Odłamany szczyt potoczył się na środek kościółka. Teraz poziome ramiona przypominały szubienicę, na której kołysała się zawieszona na jednym gwoździu figura Chrystusa.

Ptaki zbiły się w ciasną gromadkę, otuliły skrzydłami.

Zakonnikowi zdawało się, że w powietrzu czuje zapach siarki, ptasie oczy goreją czerwienią, a łapki stukają niczym kopyta.

– *Apage, Satanas!* Zaklinam was w imię Boga Najwyższego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, odstępście siły nieczyste!

Nagle zgasły ostatnie świece.

– W imię ojca i syna... Ratujcie nas aniołowie i wszyscy święci – błagał brat Claudio.

Ponownie rozległ się potężny grom, wewnątrz zalała jasność, malując w powietrzu sylwetkę olbrzymiego ptaka o lśniących piórach. Rozłożone skrzydła zdawały się opiekuńczo rozpościerać nad zebranymi w kościele. Widok był tak piękny, że Claudio opadł na kolana i zaintonował modlitwę do Ducha Świętego.

Jasny poblask zmienił nagle barwę na krwistoczerwoną, skrzydła ogarnęły płomienie. Smugi dymu zasnuły świątynię, czerwień przeszła w najgłębszą czerń. Tylko w ptasich ślepiach ciągle gorzał ogień. Z dzioba wystawał rozwidlony język, pazury były ostre niczym sztylety. Krzyk kaleczył uszy.

– Pod Twoją opiekę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... – szeptał Claudio, kiedy utkany z cienia stwór zamknął go w uścisku.

Rycerz Amilio czuł, jak zimne iskierki strachu przesuwają się wzdłuż kręgosłupa.

Amilio nienawidził się bać – nienawidził lepkiego potu, który spływał po karku, dławiącej guli w gardle, obłądnego rytmu serca, paraliżującej członki niemocy.

Chciał się podnieść, lecz ciemność pochłaniała go. Nie czuł oparcia pod stopami, stracił poczucie kierunku, nie wiedział czy ciągle klęczy, czy spada, czy może unosi się w powietrzu. Na przemian oblewał go zimny pot i nieznośne gorąco. Z mroku dochodziły odgłosy ciężkich oddechów, stukotów, rżenia, jakby otaczały go diabelskie zastępy.

– Nie weźmiecie mnie! Precz, precz!

Kiedy palce trafiły na gałkę miecza, zacisnął ją mocno w dłoni. Zapomniał, że jest w domu bożym, wyciągnął ostrze i podjął walkę z niewidzialnym wrogiem. Kręcił się w kółko, zasłaniał i ciął, byle nie dać przystępu demonom. Nie wiedział, że krzyczy, nie słyszał jęków ani pisku ptactwa.

Dla Barnarda wszystkie te odgłosy brzmiały upiornie. Coś go zaatakowało w ciemności, rozszarpało ubranie, poraniło. Był pewien, że znalazł się w piekle, a diabły rozrywają jego ciało na strzępy, taki czuł ból. W nagłej chwili jasności dostrzegł podobną człowiekowi postać o szpetnym obliczu wykrzywionym nienawiścią albo szaleństwem? Stwór toczył pianę, jego głos brzmiał niczym warkot dzikiego zwierza. Kolejny obraz okazał się równie straszny – światło odbiło się w falującej kałuży. Leżały w niej ciała ludzi i ptaków, a powierzchnię mąciły opadające pióra, szczątki skrzydeł, korpusy bez nóg. Ujrzał także nieruchome oczy Joaquina, pachółka, który przed chwilą modlił się obok niego.

Znów zapadła ciemność. Straszliwe wrzaski umilkły. Barnard ostatekiem sił zaczął się czołgać w stronę wyjścia.

VII

Po południu na wybrzeżu rozszalała się nawałnica. Raz po raz trzaskały pioruny, grad niszczył strzechy, wicher kręcił bicze z piasku, ostre drobinki wciskały się w każdą szczelinę i tworzyły karbowane wzory na polepach. Wzburzone fale wdarły się w głąb lądu i porwały łodzie, kramy się rozpadły, poszarpane sieci fruwały w powietrzu niczym monstrualne pajęczyny.

Bézu nie śmiał wychylić nosa z chałupy i wspólnie z rodziną odmawiał na kolanach modlitwę, prosząc o opiekę świętego Floriana.

Nocą burza przycichła, a rankiem niebo miało czystą, lazurową barwę. Morze szumiało łagodnie, jakby nie pamiętało wczorajszego gniewu. Plażę pokrywały wodorosty, trzepoczące się w kałużach ryby i kawałki drewna. Na szczęście dla rybaków ocalały dwie krypy.

Bézu najchętniej zająłby się naprawą zrujnowanego dachu i sieciami, ale pacholkiwie byli nieustępliwi. Pomogli wylać wodę z jednej z łodzi, uszczelnić ją i powiosłowali na wyspę.

Zatoczka wyglądała jeszcze gorzej niż wioskowa plaża. Fale sięgnęły urwiska, wodorosty i szkliste meduzy leżały pod samą ścianą, z piachu wystawało pojedyncze wiosło. Ułatwiająca wspinaczkę lina była poszarpana, wiatr strącił w dół kilka luźnych kamieni.

Śmiertelnie wystraszony Bézu mamrotał modlitwy i żegnał się raz po raz. Pacholkiwie nie mogli go zostawić, bo porzuciłby ich na pastwę losu.

Wyciągnęli krypę pod skały i we trójkę ruszyli w górę. Zanim stanęli na szczycie do krwi otarli ręce i mocno się zasapali.

Krajobraz wyglądał niczym namalowany – piękny i nieruchomy, a ich przeszyły dreszcze. Nie podobały im się ani cisza, ani martwota.

Oślepiające słońce raziło w oczy, więc idąc, patrzyli pod nogi, na ścieżkę. Prawie potknęli się o leżącego w poprzek dróżki człowieka.

– W imię ojca i syna... Zarażnik... – zakwilił Bézu.

Przed ucieczką powstrzymał go Pauli, w ostatniej chwili łapiąc za szmaty. Drugi pacholek, Mario, odgarnął poszarpane, sztywne od krwi włosy leżącego.

– Przecie to poeta, Barnard. Boże Wszechmogący, co mu się stało?

Odwrócił nieruchome ciało na plecy.

– Nie zaraza go powaliła, tylko miecz. Bardzo jest poraniony, ale jeszcze dycha.

– Nie zaraza? – odetchnął rybak i zerknął przez ramię. – Chwała niech będzie Najwyższemu.

– Głupis, kmiocie – sarknął Pauli. Policzki miał czerwiejsze niż zwykle od nabiegłej krwi. – Ktoś go przecie zaatakował, a sam plotleś, że na wyspie nikogo nie ma.

– Diabli... – zadygotał Bézu i znowu zaczął się żegnać. – Uchodźmy, zanim i nas rozszarpia.

– Trzeba znaleźć zakonnika i pana Amilio. Gdzie kościół i chałupy?

– Tam.

Bézu nawet nie spojrzął w stronę, którą pokazywał. Nie chciał iść dalej, znajdować okaleczonych ludzi, zastanawiać się, co się przytrafiło Barnardowi i gdzie są pozostali. Był prostym, bogobojnym człowiekiem – znał się na łowieniu ryb, wędzeniu i naprawianiu sieci, żadna inna wiedza nie była mu potrzebna. Opustoszała wyspa przerażała go śmiertelnie i gdyby nie czujni pachołkowie wzięłby nogi za pas, a kiedy już dotarłby do domu, żadna nagroda nie skusiłaby go do następnej wyprawy.

– Gdzie? – potrząsnął nim Mario, mrużąc oczy.

– No przeca mówię, że tam – smarknął bliski płaczu. I żeby ukryć szkliste spojrzenie odwrócił się w stronę świątyni.

Kościół nie było.

Rybak zamrugał, otarł łzy i ocieniając twarz, spojrzął ponownie.

Nie, zdawało mu się, pewnie słońce go oślepiło, widać przecież mury. Ale gdzie podział się dach, wieżyczka i krzyż? Mimo woli postąpił parę kroków w przód.

Frontową ścianę osmalił ogień, pozostałe leżały zawalone, wokół poniewierały się nadpalone belki. W najbliższej kałuży coś błysnęło, więc Bézu odruchowo schylił się i wyciągnął z błota odłamek krzyża.

Pachołkowie porzucili Barnarda i zaczęli odwalać belki i kamienie. Miejscami popiół był jeszcze ciepły i poruszony wirował w powietrzu, a pomiędzy nim fruwało nadpalone pierze. Ten na samym spodzie miał nienaturalną różową barwę i kleił się do rąk. Oblepione tą obrzydliwą mazią i ptasimi piórami leżały ciała ze spaloną skórą. Brata Claudio rozpoznali po strzępach białoczarnego habitu, pachołków po rynsztunku. Pozostałe trupy okazały się nagie i straszliwie poranione – bez nóg, rąk, nawet głów.

Pauli oglądał już niejedno pobojuwisko, ale ten widok i potworny smród przyprawił go o mdłości. Skoczył na bok i wyrzygał się w krzakach.

Bézu stał jak słup, obracając w rękach kawałek żelaza. Potracony przez Pauliego poszedł bezwolnie w stronę wioski. Wtedy zobaczył jeszcze jedne zwłoki, nagiej kobiety. Leżała skurczona, z odrzuconą na bok głową, oplątana włosami. Od ramienia, przez piersi aż do boku ziała głęboka rana.

– Matko Przenajświętsza, przecie to Sophie...

– A chodź ino tu! – usłyszał ochryply głos, więc zawrócił.

– Poeta, zakonnik, pan Amilio i czterech pachołków – liczył na palcach ciągle roztrzęsiony Pauli. – Kim jest reszta?

Na uginających się nogach rybak wszedł między ruiny.

– To chyba Mattias i jego najmłodszy Jean. I Babtista, i René... A na drodze leży stara Sophie, gospodyni wielebnego. Wszystkich złe zabiło...

Mario odkopał z gruzu ciało swego pana. Rycerz miał na twarzy wyraz szaleństwa, wytrzeszczone oczy, a w rękach wciąż ścisnął miecz. Ostrze pokrywała zakrzepła krew, do której przywarło pierze. W pobliżu leżał tłumok zrobiony z płaszcza. Kiedy pachołek go rozwinął, posypały się skarby – pierścienie, złote łańcuchy, broń. Cudem przetrwał także obraz Madonny w drogocennej sukience i rubinowej koronie.

– Sprawdzę we wiosce, może oprócz Barnarda jeszcze kto ocalał? – zadeklarował Pauli. – Mario, opatrz poetę, a my pójdźmy.

Ruszyli wspólnie z Bézu, ale nie znaleźli nikogo - ani żywego, ani martwego.

– Wracajmy. Kiedy Barnard się ocknie, powie co się wydarzyło. A może nie?

Pomodlili się za umarłych, zebrali wota, a najsilniejszy Mario zarzucił sobie nieprzytomnego Burgundczyka na plecy i ruszyli z powrotem.

VIII

Pauli opatrzył Barnarda, lecz nie miał nadziei, że poeta przeżyje. Ranny nie odzyskiwał przytomności. Rzucił się na posłaniu, zrywał bandaż, jęczał i krzyczał, a w tych wrzaskach było tyle bólu i strachu, że pachołkom cierpła skóra. Uradzili, że nie będą czekać, aż skona, lecz zapakują go na wóz i powiozą do Narbonne. Biskup musiał się dowiedzieć o śmierci swych posłańców i przerażających wydarzeniach na wyspie.

Ruszyli do miasta zarekwirowaną furą ciągniętą przez rycerskiego konia. W tobołkach mieli przekazane przez karczmarza listy oraz kościelne skarby. Nie zamierzali się nimi chwalić – to był ich łup, który miał zrekompensować czas zmarnowany pod Montségur.

Na wybrzeżu gdzieniegdzie trafiały się poletka obsiane zbożem, lecz przeważały łąki i ugory porośnięte chwastami, polnymi kwiatami, kłującym tamaryszkiem i ziołami. Od morza wiatr niósł zapach soli mieszający się z mocnym aromatem lawendy i rozmarynu, w przestworzach świergoliły skowronki, lecz pacholłowie nie zważali na piękno natury. Narzekali na spiekotę, kurz i Barnarda, który nie umierał, lecz trwał zawieszony na granicy życia i śmierci.

– Zaraza... – bełkotał nieprzytomnie. – Ptaki i demony...

– Może ktoś więził wyspiarzy, a nasi ich odbili i schronili się w kościele? – domyślał się Pauli, starając się zignorować jęki poety.

– Musiało ich być wielu – potakiwał głośno Mario. – Pan Amilio nie zdierżył i poległ, a tamci odpłynęli, wprawdzie przeczekawszy nawałnicę. Łodzi przecie nie było.

– Ptaki... – skamlał Barnard. – Oni nie umarli...

– Tak musiało być! – krzyknął Pauli, byle zagłuszyć wypowiedziane w nieprzytomności słowa.

Musiał wierzyć, chciał wierzyć, że w taki sposób potoczyły się wypadki, choć rozum podpowiadał, że bandyci nie pozostawiliby skarbów, teraz bezpiecznie ukrytych w tobołkach.

– On krąży wokół, czyha... – płakał Barnard. – Na skrzydłach niesie śmierć...

– Zamilknij nareszcie! – wrzasnął na niego Mario, żegnając się pobożnie. I nagle nowa myśl przyszła mu do głowy. – A może ty z nimi wzmowie być?

– Racja. Bo czego poeta szukałby w takiej dziurze? Przypochlebiał się panu Amilio i zakonnikowi, żeby go ze sobą zabrali i poprowadził prosto w pułapkę – poparł go Pauli.

– Zabijmy go. Po dziesięciokroć zasłużył.

– Nie. Zawieziemy go do biskupa, on go osądzi.

Znużenie długą jazdą po wertepach mocno dawało się we znaki, lecz nie widać było żadnej gospody, więc pacholłowie zatrzymali się na nocleg w polu. Niedawno skoszone, ustawione w kopy siano mocno pachniało i zachęcało do odpoczynku. Pauli wyprzągnął konia, luźno spętał pozostałe, a Mario wygrzebał wygodną jamę. Posilili się zapasami zabranymi z

rybackiej wioski i legli spać. O poetę się nie zatroszczyli. Przekonani o jego winie, pozostawili go na wozie, nie zmienili opatrunku, nie zwilżyli spierzchniętych ust.

Pauliego dręczyły koszmary. Widział kościół skąpany w upiornym świetle, słyszał jęki umierających, a na głowę zamiast deszczu sypał mu się popiół zmieszany z wirującym pierzem. Sylwetki, które wpierw wziął za ludzkie otaczały go ze wszystkich stron, naigrywały się z jego przerażenia, karmiły się strachem. Zamiast ust miały dzioby, a z ramion wyrastały im skrzydła.

Zerwał się drżący, przerażony. Odgarnął siano i wypełził z jamy, trącąc Maria, który śnił swój sen, pewnie równie straszny, bo rzucał się i jęczał.

Na dworze panowała szarówka. Znad ziemi snuła się mgła, kształty zamazywały się, przenikały się wzajemnie, otoczenie wydawało się nierealne, pozbawione kolorów. Pauli przetarł oczy i zaczął mamrotać pacierze. Żegnał się z prawdziwą bojaźnią, bo krajobraz wydawał się wyjęty z jego koszmaru.

Gdzieś z drugiej strony stogu dochodziły stłumione jęki. Pauli obrał z siana miecz, wysunął ostrze i ostrożnie wyjrzał.

Przed nim majaczyła przysiadła na olbrzymich łapach bestia, z długą szyją i grzbietem najeżonym kolcami. Powietrze, ciężkie i nieruchome, skupiło się ponad grzbietem potwora, jakby go obejmowało w uścisku.

Jęk przeszedł w zawodzenie i wreszcie w krzyk.

W następnej chwili powiał wiatr, ciemność się rozproszyła, pozostawiając smugi przypominające olbrzymie skrzydła. Słońce rozbłysło pierwszymi promieniami – świat odzyskał barwy i kształty.

Na łące stał nie potwór, lecz zabrany rybakom drabiniasty wóz z dyszlem, a na słomie rzucał się ranny poeta. Pauli, zawstydzony i wściekły, wsparł się na mieczu. Musiał opanować drżenie rąk i słabość w kolanach. Złość zwrócił przeciwko Barnardowi.

– To wszystko przez ciebie! – ryknął.

Ranny musiał cierpieć niezwykłe męki, bo poszarpał bandaż, a z ran spływała krew. Świeże zadrapania na policzkach wyglądały jak przeorane pazurami. Źrenice uciekły w głąb czaszki i na Pauliego zwrócone były same białka.

– Zostaw mnie, zostaw – błagał. – Śmierć mnie doścignie, otuli skrzydłami...

– Jesteś szalony – powiedział mu pachołek, którego niespodziewanie i wbrew wcześniejszym odczuciom ogarnęła litość. – Dzięki Bogu Najwyższemu, nie ja będę twoim sędzią i katem.

Obudził Maria i wspólnie przysposobili się do drogi. Kolebali się cały dzień bez odpoczynku i przed nocą stanęli w Narbonne.

IX

W pałacu biskupim trwało przyjęcie. Bawili się księża, notable i kurtyzany. Stoły uginały się od jadła, wino lało się strumieniami, grała muzyka. Po ponurej atmosferze nadmorskiej wioski pachołkom zdawało się, że trafili na jarmark.

– Jutro staniecie przed obliczem jego eminencji – zapewnił sekretarz biskupa, który niewiele zrozumiał z chaotycznej opowieści. – Teraz spocnijcie, strażnicy zaprowadzą was na kwaterę.

– Wasza dostojność, czy rannym nie mógłby się zająć medyk albo... kat? – Zatrzymał go Pauli. Nie mógł znieść, że kolejną noc spędzi, słuchając upiornych wrzasków poety. – Nam się zdaje, że on był współnikiem bandytów, co brata Claudio, rycerza Amilio i niewinnych wyspiarzy pomordowali.

– Racja – ocknął się sekretarz. – Do lochu z nim.

Pauli odetchnął i wspólnie z Mariem poszli za strażnikiem biskupiego pałacu. Żaden się nie obejrzał za umierającym.

* * *

Strażnicy wrzucili Barnarda do lochu niczym worek mąki i zamknęli drzwi. Nie zatroszczyli się o wodę ani jadło. Poeta nie był jedynym więźniem, więc jego głos ginął wśród wrzasków, biadoleń i złorzeczeń złodziei, morderców i wiarołomców.

Po zapadnięciu ciemności krzyki zamieniły się w szepty i łkania, kiedy grzesznicy modlili się i spowiadali towarzyszom lub wyznawali winy sami przed sobą i zrozpaczeni, mierzyli się z czekającą ich karą. Wreszcie

zasypiali na gołej ziemi, niektórzy z nadzieją, inni pewni, że następny dzień będzie ich ostatnim. Lecz tej nocy nikt nie spał.

– Oni nie umarli!!! – wrzeszczał zamknięty w osobnej celi więzień.

– Odejdź, zostaw mnie... – błagał.

– Pozostawi po sobie śmierć i zgliszcza... – zawodził.

Nagle umilkł.

Cisza kaleczyła uszy.

Powietrze stało się nieruchome, gęste i ciężkie, ciemność nieprzenikniona.

A potem rozległ się jeden, jedyny krzyk – przeraźliwy, jednocześnie błagalny, pełen cierpienia i strachu. I szelest, jakby łopot olbrzymich skrzydeł nocnego ptaka.

Niewysłowiona cisza zamieniła się w zwykłe odgłosy – chrobotyły myszy, klekotały wypaczone drzwi, chrapali strażnicy. Uspokojeni więźniowie jeden po drugim zapadali w sen, a rankiem żaden nie wspomniał o nocnej grozie. Butni zabójcy, przebiegli oszuści i bezczelni krzywoprzysięzcy nie przyznaliby się do przerażenia, które nimi owładnęło.

* * *

Biskup Narbonne dopiero koło południa raczył wysłuchać sprawozdania pachołków. Przyniesione przez ciurów ponure wieści sprawiły mu perwersyjną satysfakcję. Nie będzie świętego wyniesionego na ołtarze przez znenawidzonego hrabiego heretyka, postanowił. Ostatecznie rozpogodził się na widok obrazu Madonny w złotej sukience i koronie z rubinów, który oddał Mario. Nawet dla pozbawionego skrupułów starego wygi świętokradztwem byłoby przywłaszczenie sobie wizerunku Najświętszej Matki Jezusowej. Żeby uniknąć pytań o zamożność bożego przybytku obaj mężczyźni zgodnie rozwodzili się nad obrazami męki, której musieli doświadczyć wyspiarze i bohaterstwo swojego pana Amilia z Asturii i zbrojnej eskorty. Podkreślali też domniemaną winę Barnarda z Nevers.

Biskup kiwał głową, ale nie słuchał i ledwo rzucił okiem na wymięte papiery z sakwy.

– To wasze – mruknął i podał listy stojącemu u stóp tronu prowincjałowi Dominikanów, temu samemu, który delegował brata Claudio

na *L'Isle d'Escargot*.

– Dziękuję, księżę biskupie. Czy wasza eminencja pozwoli na przesłuchanie owego Barnarda?

– Jeśli się przyzna do zbrodni każń go nie ominie – zapewnił hierarcha i wyciągnął rękę ze złotym pierścieniem do ucałowania.

* * *

Cela była ciasną dziurą odgradzoną kratą. Dopływ powietrza zapewniał umieszczony pod sufitem świetlik. Wąska słoneczna smuga wydobywała z mroku uklepaną ziemię, resztki słomy i nierówno ułożone kamienie spojone szarą zaprawą. Reszta pomieszczenia tonęła w ciemnościach.

Dominikanin rozkazał otworzyć kratę i wszedł do środka. Strażnik czekał wsparty plecami o drzwi, bawiąc się pękiem kluczy.

– Tu nikogo nie ma.

Mężczyzna podskoczył nerwowo i wytrzeszczył gały na pustą celę.

– Jakże? Wszyscy słyszeli, jaknocką gębę darł.

– Uciekł? – drążył zakonnik.

– Nie może być! Samiście ojczye wielebny widzieli, że loch był zawarty.

– Może go kto odwiedził, a potem wyprowadził?

– Nikt obcy się tu nie kręcił. Przysięgam na mękę Pańską i Święty Krzyż – zaklął się strażnik.

Kaznodzieja pochylił się nad kupą szmat leżących w kącie – cuchnących, poszarpanych, sztywnych od krwi. Na ciemnym tle wyróżniały się bandaże rozrzucone niczym wstążki. Zakonnik obejrzał zamek w drzwiach, po czym zwrócił wzrok ku okienku. Przez świetlik nie precisnęłoby się nawet dziecko, a cóż dopiero dorosły mężczyzna.

Na murze jaśniały świeże, głębokie rysy. Zaczepione o tynk kołysało się długie, lśniące czernią ptasie pióro.

Dominikanin wzdrygnął się, przeżegnał i wrócił na pokoje. Zamyślony siadł przy stole, napił się wina i przypomniał sobie o listach. Wyciągnął papiery ze skórzanej sakwy, wygładził je i zaczął odcyfrowywać koślawe, stawiane w pośpiechu litery.

...Z każdym krokiem postawionym na zakurzonych gościńcach ogarnia mnie coraz większy strach i nie mam już wątpliwości, że towarzyszę Siewcy Śmierci. Przypadkiem mogło być, że ledwo

przeprawiliśmy się przez cieśninę na stały ląd, Mesynę nawiedziło trzęsienie, lecz w czasie naszej bytności nad Neapolem oberwała się chmura i zwały błota zalały niżej położone dzielnice. Nastąpiło to całkiem niespodziewanie, ledwie chwilę wcześniej modliłem się przed relikwią św. Januarego, żałując, że wyznaczona przez Jezusa Chrystusa ścieżka nie doprowadziła mnie do tego miejsca na początku maja albo we wrześniu, kiedy wydarza się cud i płynie krew świętego, a w następnej ziemia usuwała mi się spod stóp. Niech dobry Pan i Przenajświętsza Maryja mają w opiece dusze zmarłych i wpuszczą ich do Królestwa Niebieskiego. A to nie koniec nieszczęść. W benedyktyńskim opactwie na Monte Cassino, podniesionym z gruzów staraniem opata Dezyderego zawalił się dach, grzebiąc pod gruzami wielu zakonników, a drogę do Rzymu zniszczyła kamienna lawina.

Zawróciliśmy tedy i wsiedli na statek do Genui. Podróż, dzięki Bogu minęła spokojnie, choć na widok latarni Il Faro z oczy pociekły mi łzy radości, a ręce same złożyły się do modlitwy. Kiedyśmy już znaleźli kwatery rozpętała się straszliwa burza i wiele okrętów poszło na dno, rozbijając się w porcie lub płonąc od uderzenia piorunów. Lecz najbardziej mnie zatrwożyło inne zdarzenie...

Którejś nocy zbudził mnie hałas. Kiedym otworzył oczy pomyślałem, że Inigo się modli, bo był na klęczkach, obnażony do pasa i mówił do siebie. Zaraz jednak pojąłem, że to nie święte wersety, tylko słowa wypowiedane w dziwnym języku. Jego nagie ciało pokrywały magiczne znaki, a z ogniska buchał cuchnący dym, który zdawał się formować na kształt skrzydeł. W powietrzu wisiała groza i niech mi dobry Bóg przebaczy, zabrakło mi męstwa, aby przerwać ten bluźnierczy rytuał.

Do świtu leżałem nieporuszony, udając śpiącego, a rankiem ledwie się podniosłem, bo siły ze mnie wyciekły. Lecz po onym diabelskim pomociu nie widziałem ni śladu zmęczenia.

Od tamtej pory Inigo porzucił pozory – sposepniał i prawie się nie odzywa. Bardzo schudł, rysy mu się wyostrzyły, skóra poszarzała i pokryła się strupami, a między palcami wyrosła błona. Dla niepoznaki

obwiązał ręce i nogi szmatami, lecz na mękę Chrystusową przysięgnę, że to prawda, bom widział wszystko na własne oczy.

Kiedy wyruszałem w tę podróż ślubowałem na Krzyż, że swą misję wypełnię do końca. Dziś nie opuszcza mnie przecucie, że Pan wkrótce wezwie mnie do siebie. Pójdę bez lęku, z radością w sercu i czystym sumieniem. Czekać tam będę na Ciebie mój umiłowany bracie Dominiku. Żywię najgłębsze przekonanie, że Twój zamysł powołania Zakonu Braci Kaznodziejów spełni się do końca, a słowo Boże ostatecznie wytepi wszelką herezję i zniweczy zamysły Szatana i jego naznaczonych złem sług.

*Oby miłociwy Bóg i Maryja Dziewica mieli cię zawsze w opiece,
Fagobert.*

Iwona Lidia Surmik

o książce *Siewca śmierci*

Wyspa L'Isle d'Escargot swoim kształtem przypominała zwiniętą skorupkę z zapadniętym środkiem. Nie cieszyła się zainteresowaniem okolicznych mieszkańców i uchodziła za bezludną. Nie było na niej żadnych atrakcji. Ot, same drzewa i kamienie. Pewnego dnia w nadmorskiej miejscowości pojawił się tajemniczy przybysz, ubrany w szatę przypominającą zakonny habit. Fagobert zapłacił przewoźnikowi za kurs w jedną stronę na wyspę. Miesiąc po tym wydarzeniu miejscowi wybrali się do niego w odwiedziny. Na miejscu zastali jednak opuszczone obozowisko i ani śladu mężczyzny. Wkrótce odwiedzający wyspę zaczynają doświadczać niesamowitych rzeczy. Czyżby Fagobert udzielał im cudownych łask?